

Damià Bardera

Być Indianinem

Przełożyły Maria Gaweł, Marta Pawłowska



Nie byłem jak inne dzieci. Choć w domu pewnie myśleli, że jest inaczej. Przygotowali dla mnie imprezę-niespodziankę z serpentynami, kolorowymi literkami i ciasteczkami, i ośmioma świeczkami na torcie. Była nas ponad dwudziestka dzieci, krzyczeliśmy i biegaliśmy po salonie z buziami umazanymi czekoladą. Mama oraz pozostałe matki cały czas się uśmiechały i gawędziły ściszone głosem, obserwując, jak z wymalowanymi twarzami biegamy wte i wewte przebrani za Indian.

I wszedł klaun. Momentalnie wszyscy ucichliśmy. „Chodźcie, dzieci, siadajcie!” – usłyszałem dobiegający z kuchni głos mamy. Weszła do salonu porozmawiać z klaunem i szepnęła mu kilka słów do ucha. Gdy do niego mówiła, klaun potakiwał, a od czasu do czasu uśmiechał się. Kiedy pochylał głowę, ukazywał mi się pęk jaskrawo-pomarańczowych włosów, przypominających liście rosnącej u nas w ogrodzie endywii, z tym że koloru pomarańczowego. Nagle, kiedy tak wpatrywałem się w jego czuprynę, podniósł oczy i już nie spuścił ze mnie wzroku.

Wszyscy byliśmy w salonie: chłopcy, dziewczynki, matki i co poniektórzy ojcowie. Klaun rozpoczął przedstawienie. Poruszał się niezgrabnie z powodu ogromnych, czerwonych butów, jakie zazwyczaj noszą klauni. Kiedy podchodził do któregoś dziecka, by złapało go za nos, potykał się i wszyscy wybuchali śmiechem. A gdy już ktoś dotknął jego nosa, rozlegało się „tiiiit”. I to jeszcze bardziej wszystkich bawiło.

Mnie spotkało najgorsze. Klaun nadmuchiwał balon przy pomocy jakiegoś małego urządzenia, które sam przyniósł. Balon zaczął przybierać kształt parówki. W końcu zawiązał go, by nie uciekało powietrze, i podszedł do mnie. Tym razem się

nie potknął. „Jakie chcesz zwierzątko?” – zapytał, otwierając szeroko usta jak ryba. Nie odpowiedziałem. Zapytał jeszcze raz. Ani be, ani me. „On chce żyrafę” – usłyszałem słowa matki. A inne dzieci zaczęły powtarzać: „Żyrafa, żyrafa”.

Począł skręcać balon, który już po chwili przypominał żyrafę. Pieprzona żyrafa! Przypomniało mi się, jak pewnego razu wujek – młodszy brat mojej matki – zabrał mnie do ZOO. Już przy wejściu oznajmił: „Idziemy zobaczyć żyrafy”. I pierwsze, co zobaczyłem, to były żyrafy. Wujek podał aparat jakiejś dziewczynie, która akurat tamtędy przechodziła, i zapytał, czy nie mogłaby zrobić nam zdjęcia z żyrafami. „Oczywiście” – odparła dziewczyna. – „Żaden problem”. I nie wiem, jak to się stało, ale wujek i dziewczyna od razu się zaprzyjaźnili. Towarzyszyła nam podczas całej wizyty, a zanim sobie poszła, powiedziała: „Zróbmy sobie zdjęcie razem, we trójkę”. Wujek podał więc aparat jakiejś przechodzącej obok parze i chłopak zrobił zdjęcie całej naszej trójce.

Za każdym razem, kiedy idziemy na obiad do wujka, widzę to zdjęcie na lodówce, pośród wielu innych. Ja jestem w środku, wujek trzyma rękę na moim ramieniu. Ona uśmiecha się, wskazując palcem jedną ze stojących za nami żyraf. Pewnego dnia zapytałem wujka, dlaczego nie powiesił zdjęcia, na którym jesteśmy we dwójkę, bez tej dziewczyny. „Nie twoja sprawa” – odpowiedział. Od tej pory nie zadawałem mu już więcej pytań.

Podejrzewam, że nie tego się spodziewali. Przebiłem balon jednym z piór, które przymocowałem sobie na głowie, żeby być prawdziwym Indianinem. Rozległo się „Bum!” i niektóre z dzieci wybuchły płaczem, jakby ktoś zdradziecko je uszczypnął. Wszystkie matki wpatrywały się we mnie zdumione i poczułem się ważny. Klaun również na mnie patrzył. Jego oczy były zielone i smutne. Przypominał mi wujka. Zeskoczyłem z kanapy i rzuciłem się do ucieczki, jakby ścigali mnie kowboje z westernów.

Kiedy byłem już na zewnątrz, nie przestawałem biegać i krzyczeć. Byłem Indianinem. Miałem urodziny. Krzychałem: „ło-ło-ło-ło-ło-ło”, prawą ręką zasłaniając i odkrywając usta, „ło-ło-ło-ło-ło”. Pobiegłem do ogrodu. Wciąż udając Indianina, zacząłem z całych sił kopać zasadzone na grządce endywie, ale za nic nie chciały oderwać się od ziemi. Chwyciłem więc za motykę i dalejże! Skończywszy z endywią, zabrałem się za sałatę.

W połowie roboty, dokładnie w chwili, gdy wznosiłem ręce, by raz jeszcze wprawić żelazo w ruch, ktoś zaszedł mnie od tyłu i położył mi rękę na ramieniu. Instynktownie obróciłem głowę. Powiedział: „Spokojnie, nic się nie stało, nic się nie stało”. Po kilku sekundach wahania – nie miałem pojęcia, jak się zachować ani co powiedzieć – przygnębiony spuściłem głowę, on wziął motykę, a ja nie wiedziałem, co zrobić z rękami. Zawstydzony, ze zwieszoną głową, rzuciłem okiem na ogród i dokonane przeze mnie dzieło zniszczenia. Kątem oka szybko spojrzałem na wujka: oddalał się powoli odwrócony do mnie plecami, jakby ciążyły mu lata, w jednej dłoni trzymał motykę, a w drugiej pomarańczową perukę, która wciąż przypominała endywię.

Damià Bardera

Terapia szokowa

Przełożyły Maria Gaweł, Marta Pawłowska

Mówi się, że ludzie piszą, aby doznać oczyszczenia albo by się usprawiedliwić, albo uratować. Ja nie lubię pisać, nie znam się na tym, a na dodatek nie czytam. Dlatego zdziwiło mnie zalecenie lekarza, że powinienem pisać – że dobrze mi to zrobi, że to sposób jak każdy inny, by dokonać egzorcyzmów – użył tego słowa – i wypędzić demony. „Niech pan spróbuje”. Posłuchałem go. Zacząłem pisać historię o pewnej dziewczynie, którą znałem od wczesnego dzieciństwa, choć nie widziałem jej już od ponad dziesięciu lat. Była niedorozwinięta. W szkole wszyscy się z niej śmialiśmy. Dodawać nauczyła się w wieku dwunastu lat. Jej ojciec był kierowcą ciężarówki, a matka sprzątała domy. I miała starszą siostrę, która też chodziła z nami do szkoły. W którejś klasie siedziałem z nią w jednej ławce i niebieskim lub czerwonym długopisem bazgrałem jej po spodniach. Raz udało mi się napisać dużą literę „N”. Innym razem, między lekcjami, wbiłem jej cyrkiel w lewe ramię i obracałem nim, jak gdybym chciał narysować okrąg. Podczas przerw, jeśli akurat nam się nudziło, wykorzystywaliśmy sytuację i mówiliśmy jej, że chcemy jej zdradzić na ucho pewien sekret, a ona potakiwała, mrużąc oczy, i śmiała się z otwartą buzią. „Niedorozwój” – szepotaliśmy. A kiedy nie chciała już słuchać żadnych sekretów, mówiliśmy, że jej siostra robi to z Marokańcami, na co zaprzeczała, potrząsając głową, i jeszcze długo nie przestawała tak zaprzeczać. Ale nie odchodziła, tkwiła tam i nas słuchała, tylko od czasu do czasu wtrącała: „Toooooo nieplaaaawda”. Choć wiedziała, że to prawda. Wszyscy wiedzieliśmy. Słyszeliśmy, jak mówią o tym w domu, a o takich rzeczach się wie. Nauczyciele też o tym wiedzieli i wiedzieli także, że dziewczynka jest upośledzona. My się z niej naśmiewaliśmy, a z czasem nawet przestano nas za to upominać. Pewnego razu wmówiliśmy jej, że od picia wody destylowanej można się upić i że powinna zrobić to jak najszybciej, bo w przeciwnym razie nie pojedzie na wycieczkę z okazji zakończenia roku. A jak już byliśmy starsi, chłopak, z którym miałyby ochotę na bara-bara, powiedział jej, że jeśli popełni samobójstwo, pocałuje ją z języczkiem – „tak, jak w filmach, Brygido”. I już prawie nic więcej nie pamiętam. Tylko, że jak byliśmy bardzo mali – powiedziała mi to matka – odrabiałem jej zadania z matematyki.

Damià Bardera

Opowieść wigilijna

Przełożyły Maria Gaweł, Marta Pawłowska

Dziś Wigilia. Za kwadrans siódma, a ja jeszcze nie mam prezentów. Nie mam pojęcia, co kupić. Wszyscy, którzy mi pozostali: żona, córka, dwóch synów, pies i teściowa, leżą w szpitalu. Mojej żonie Magdzie potrzebna jest wątroba – marskość – a nie chcą jej zrobić przeszczepu. Córka potrzebuje pary nowych płuc. Jeden z chłopców – nerek, a drugi żołądka. Psu trzeba pary nowiuteńkich oczu, najlepiej zielonych. A teściowej nie wiem dokładnie, czego potrzeba. Zapewne serca.

Lecz dziś wigilia i nie tracę nadziei. Jestem człowiekiem wiary i wierzę w cuda. Stąd też zawsze wożę w samochodzie lodówkę turystyczną, najnowszy model. W radiu zmieniam stację i słyszę piosenkę, która przynosi mi w błogie czasy głębokiego dzieciństwa, kiedy wszyscy mieli zdrowe organy, a przeszczepy nie istniały. Wspominając tamte dni, niemal odruchowo redukuję bieg do trójki, by wziąć zakręt i... Niespodzianka! Jestem szczęściarzem. Nigdy nie wolno nam tracić nadziei.

Gaszę światła, łapię lodówkę, nóż do krojenia szynki i kieruję się w stronę staranowanego auta. On nie żyje. No a jej niewiele brakuje. Żeby zaoszczędzić jej cierpienia, dopadam do niej i rozcinam klatkę piersiową i brzuch. Wyciągam serce – wciąż bije – płuca i żołądek. Jestem szybki jak błyskawica. Jej towarzysza, któremu kierownica wbiła się w twarz, pozbawiam nerek i wątroby, zupełnie jakbym podprowadzał mu portfel.

Niestety ona nie ma zielonych oczu, a jego oczy... szukaj wiatru w polu. Zanim ktoś się przyplącze, chwytam łyżkę samochodową i pozbawiam ją wzroku. Ma naprawdę śliczne, kocie spojrzenie. Nawet jeśli nie zgra się zbyt dobrze z psim pyskiem, zastanawia mnie, czy od dzisiaj zwierzak będzie patrzył na mnie jak na mordercę, czy też może zobaczy we mnie swojego wybawiciela.

Damià Bardera

Całusy

Przełożyła Marta Pawłowska

Wieczorna zabawa okazała się sukcesem. Opiekunowie są zadowoleni. Podzielili dzieci na dwie drużyny – chłopców i dziewczynki – i pomalowali wszystkim usta, każdemu z osobna.

„Wygrywa ta drużyna, która więcej razy pocałuje drużynę przeciwną”.

Chłopcy całują dziewczynki. Dziewczynki całują chłopców. Wszyscy całują się ze wszystkimi, bez krztyny litości. Ale frajda!

Wszyscy oprócz małego introwertyka, który samotnie wybrał się do lasu, z ustami wymalowanymi na wściekłą czerwień, usiadł pod drzewem i spokojnie, bez pośpiechu, położył sobie ręce na głowie i wyrwał ją. I wyczałował się z góry na dół.



Damià Bardera

Autoportret

Przełożyła Maria Gawel

Dzisiaj w szkole dzieci oddawały psychologowi rysunki, na których miały narysować samych siebie. Jedna dziewczynka przedstawiła się jako pół gad, pół gruboskórny ssak. A zamiast ludzkiej głowy narysowała gigantyczną, pstrokatą głowę ryby. To dziecko ma schizofrenię.

Psycholog poinformował rodziców dziecka ze schizofrenią, że ich dziecko ma schizofrenię. Rodzice zapytali psychologa, czy to poważne.

„Bardzo poważne”.

Rodzice zapytali psychologa, czy to uleczalne.

„Nie”.

Zapytali go, czy od teraz dziecko będzie musiało brać dużo lekarstw.

„Tak”.

Rodzice dziecka ze schizofrenią objęli się i zapłakali jak małe dzieci. Ojciec wyznał psychologowi, że on, ojciec dziecka ze schizofrenią, kiedy był mały, także rysował siebie z ciałem pół gada, pół gruboskórnego ssaka.

„A głowa?”, zapytał psycholog.

„Niedźwiedź brunatny”, odpowiedział ojciec.

Psycholog poinformował go, że może być spokojny. Zestawienie *ssak gruboskórny-gad-niedźwiedź-brunatny* nie daje rezultatu *schizofrenia*. Natomiast z zestawienia *ssak gruboskórny-gad-ryba-gigantyczny-pstrokaty* wychodzi właśnie rezultat *schizofrenia*.

Ojciec odetchnął z ulgą, a psycholog wykorzystał okazję, aby wytłumaczyć im obojgu, jak przebiega leczenie, któremu będzie musiała poddać się ich córka. Rodzice słuchali go z uwagą, potakując głową. Kiedy skończył tłumaczyć, dał im po cukierku: dla niej cytrynowy, dla niego miętowy.

Zaraz po wyjściu z gabinetu żona zganiła męża:

„Miquel, mówiłam ci, żebyś więcej nie odrabiał za nią lekcji!”

Damià Bardera

Dinozaur

Przełożyły Maria Gaweł, Marta Pawłowska

Jest sobie chłopiec, sierota bez ojca i matki, który całe swoje życie spędził w ogromnym prowincjonalnym sierocińcu – szarym i surowym, pełnym milczących zakonnic i krzyży zawieszonych na ścianach, a od czasu do czasu przewinie się też jakaś sutanna. Długie i smętne korytarze zdają się nie mieć końca, a wszystkie pomieszczenia przepełnia woń ługu i gotowanych ziemniaków z fasolą. Pokój dzieli on z innym chłopcem, sierotą bez ojca. Niedzielne popołudnia obydwaj chłopcy spędzają wyciągnięci na swoich łózkach, obserwując przez okienną szybę przestaczenie się chmur. Kiedy na niebie pojawi się Dinozaur – triceratops, diplodok albo tyranozaur – obaj spakują walizki, a nie będzie z tym dużo roboty, i udadzą się w pełną wrażeń podróż w poszukiwaniu nowych przygód, z dala od macierzystego sierocińca. Chłopiec-sierota-bez-ojca-i-matki, wyzuty z wszelkich więzów krwi i przekonany, że któregoś dnia Wielki Gad ukaże się za zakrętem nieba, wyruszy w świat wraz ze swoim przyjacielem na poszukiwanie jego biologicznej matki, która – wedle słów jednej z bidulowych zakonnic – żyje w dalekim kraju ze strzykawką wbitą w żyłę.

Wreszcie w pewne nudne niedzielne popołudnie jakich wiele chłopiec-sierota-bez-ojca-i-matki podrywa się na łóżku, wskazuje na niebo i rozgorączkowany mówi do swojego kolegi:

„Patrz, chłopcze-sieroto-tylko-bez-ojca, patrz, to *nasz* Dinozaur! Diplodok!”

Lecz chłopiec-sierota-tylko-bez-ojca nie potrafi go dostrzec. Przez okienną szybę bez słowa spogląda na chmurę, wpatruje się w nią, porównuje z ilustracjami z książki o dinozaurach, a następnie, jak gdyby nigdy nic, znowu rzuca okiem na chmurę. Ani śladu Diplodoka.

„Ależ tak, chłopcze-sieroto-tylko-bez-ojca, przypatrz się dokładnie!”

Lecz chłopiec-sierota-tylko-bez-ojca z wielkim wysiłkiem jest w stanie w ogóle coś dostrzec – może jedynie źle wykształconą żyrafę – i natychmiast rozpętuje się między nimi niecodzienna dyskusja na temat natury i istoty chmur oraz dinozaurów. Po upływie czterech godzin wyczerpani poszukiwaniem argumentów jeszcze raz spoglądają przez okno – zaczyna się ściemniać – a na niebie nie ma już ani jednej chmurki. Wiatr rozgonił je wszystkie.

Damià Bardera

Klaun

Przełożyły Maria Gaweł, Marta Pawłowska

Kiedy byłem mały, różniłem się od innych dzieci. Mój ojciec zarabiał na życie jako klaun – smutny klaun – i moimi jedynymi zabawkami były przedmioty i rupiecie, którymi widzowie obrzucali go, jeśli nie czuli się wystarczająco zadowolony występem. Nie zdarzało się to zbyt często. Od czasu do czasu jednak, bez żadnego wyraźnego powodu, ojciec wydawał się weselszy niż zwykle i w ogóle nie tryskał żalostí. Wtedy publiczność okazywała swoje niezadowolenie, ale nie obrzucała go pomidorami, orzeszkami czy jakimś innym produktem spożywcym – co byłoby normalne – na scenę leciały ubrania, buty, zapalniczki, widelce, czasem trafił się jakiś nóż, korki, plastikowe butelki, pluszaki, guziki... A pewnego razu dostał lampę pamiętającą jeszcze czasy króla Ćwieczka! Tego samego dnia ustawiliśmy ją na telewizorze i każdego wieczoru przed pójściem do łóżka (już w piżamach i z umyтыми zębami) pocieraliśmy ją w nadziei, że coś wyłoni się ze środka. I od tego ciągłego pocierania pewnego pięknego dnia lampa w końcu wypluła z siebie obłok pyłu i popiołu, no i masz – Dżinn z Lampy w salonie wynajmowanego mieszkania, rogaty stwór błękitnej barwy, który chce spełnić jedno nasze życzenie.

„Uzgodnijcie coś”.

Mnie interesowały wyłącznie prezenty i zabawki, chciałem, żeby tata był szczęśliwy, żeby publiczność po każdym numerze zasypywała go różnymi przedmiotami, im dziwniejszymi, tym lepiej. Ojciec przekonał mnie jednak, że bardziej opłaca się być smutnym – pewna praca, uznanie i pieniądze.

„Możesz mi wierzyć, synu”.

I miał rację. Poprosiliśmy Dżinna z Lampy o permanentną depresję dla ojca i nagle miał pełne ręce roboty: *tournée* po kraju i za granicą, występy w najlepszych cyrkach w kraju, w teatrach i kabaretach, program telewizyjny w paśmie dla dzieci, trzy fankluby.

Nigdy więcej nikt nie rzucił w niego żadnym przedmiotem ani rupieciem, wszyscy wracali do domu ze ściśniętym sercem. Kiedy byłem dzieckiem – i już nie takim dzieckiem – ojciec kupował mi wszystkie zabawki, jakich tylko zapragnąłem: komputery, gry wideo, markowe ciuchy, telefony... A jak byłem trochę starszy, zabił się i zostawił mi małą fortunę.

Damià Bardera

Ręka

Przełożyły Maria Gaweł, Marta Pawłowska

W domu nam się nie przelewało: dwójka małych dzieci, a ojciec diabli wiedzą gdzie. Od czasu do czasu mama chodziła kraść, żeby wieczorem było co do garnka włożyć i żebyśmy nie kładli się do łóżka z pustymi brzuchami. Nie kradła dużo, tylko tyle, ile naprawdę konieczne, by dzieci nie pomarły z głodu. Pewnego razu, w okresie świąt Bożego Narodzenia, wyciągnęła rękę odrobinę za daleko i miejscowy rzeźnik niemal instynktownie wprawił tasak w ruch – „ciach” – i matka została bez prawej ręki.

Dzięki Bogu była to słabsza ręka i ani ja, ani moja siostra nie byliśmy z nią w tamtym momencie. Zbiegła się masa ludzi. Mówili, że mama z miejsca zemdląca, że krew lała się strumieniami, tryskając na prawo i lewo, i że zabryzgała cały sklep. Rzeźnik, biedaczek, nie wiedział, co począć. Zamarł na kilka chwil, nie wierząc w to, co się stało, wciąż z tasakiem w dłoni i z szeroko otwartymi oczami wpatrzonymi w pustkę. Najpierw podniósł rękę, której palce nadal oplatały befsztyk wołowy, potem resztę ciała mamy i zawiózł ją prosto do szpitala. Sam w najdrobniejszych szczegółach wyłuszczył lekarzom, co dokładnie się wydarzyło. Nie mogli jednak uratować nawet najmniejszego paluszka. Doczepili jej nowiuieńką rękę z wytrzymałego plastiku – z tych, co to nie można nimi poruszać – i pomalowali jej paznokcie obu rąk na ten sam kolor.

Już nigdy więcej nie cierpieliśmy głodu. Rzeźnik często odwiedzał mamę i obdarowywał nas wszelkiego typu mięsivem: kielbasami, wędlinami, żeberkami, boczkim... Był człowiekiem wesołym, poczciwym, o wydatnym brzuchu i pyzatyh policzkach. Na ostatki lubił przebierać się w damskie ciuszki, a z uszu i nosa wystawało mu kilka włosków. Doprawdy nigdy byś nie powiedział, że mógłby odciąć komuś rękę. Zostawał u nas na kolacji i opowiadał nam niestworzone historie, z których z siostrą zaśmiewaliśmy się do rozpuku. Kiedy już kładliśmy się spać, skruszony rzeźnik na klęczkach raz po raz całował plastikową rękę mamy i prosił ją o wybaczenie. Ona żywiła do niego wiele ciepłych uczuć i, ocierając mu łzy kciukiem plastikowej ręki, zapewniała, że nie musi mu niczego wybaczać, że w życiu przytrafiają się o wiele gorsze rzeczy.

Po jakimś czasie wszyscy przeprowadziliśmy się do rzeźnika. Jakież spotkało nas zaskoczenie, gdy okazało się, że zachował starą rękę mamy. Ususzoną trzymał

ją na podwyższeniu otoczoną kwiatkami. Uznał nas za swoje dzieci. Mnie wyuczył zawodu, a mojej siostrze opłacił studia. Kiedy przeszedł na emeryturę, ja sam objąłem pieczę nad sklepem mięsnym.

Był słabego zdrowia i przed śmiercią kazał mi przysiąc, że zaopiekuję się matką i że nigdy nie obetnę nikomu ręki ani palca. „A jeśli przydarzy mi się to, co tobie? – spytałem. Nie mogłeś przecież nic zrobić”. „Wówczas – odparł – weźmiesz na siebie całą odpowiedzialność i do końca swoich dni będziesz się troszczył, by poszkodowany był szczęśliwy”. Mam nadzieję, że sprostam zadaniu.

